

dyjskiego biura podróży, czy w Kwesturze, wątpili czy to dobrze, że teraz chcemy wracać.

Dzięki uprzejmości administratorki, która zaprowadziła nas na dach kilkunastopiętrowego hotelu po zapadnięciu zmierzchu, mogliśmy oglądnąć panoramę „Hamilton by night”. A było na co popatrzeć...

Nocą jawił się Hamilton, jak pięknie zaplanowany medalion, bogato inkrustowany jasnymi plamkami świateł. Paciorki latarni ulicznych, rozłożone z geometryczną pedanteria wzdłuż linii prostych, wyznaczały ulice Miasta. Od razu też można było rozpoznać Main Street West, przy której mieszkaliśmy, jako jedną z osi głównych medalionu: biegła hen, aż – zdawało się – po horyzont. Przecinała ją Ulica Główna Północna. A z miejsca ich przecięcia wyrastało śródmieście, zajmujące niewielką część Miasta, zabudowane wysokościowcami – tu mieściły się biura, urzędy... Pozostała część medalionu zawierała sieć ulic, o kierunkach narzuconych biegiem ulic głównych i topografią Miasta (wzgórza, rzeki, jeziora, linia kolejowa...). Obraz nieustannie skrzył światłami; widać było doskonale, jak samochody o rozmiarach maleńkich zabawek gromadzą się w pobliżu skrzyżowań ulicznych. Pojazdy oddalające się od nas migają czerwonymi światłami, ilekroć kierowcy naciskali hamulce, a zbliżające świeciły snopami białego światła. Co jakiś czas te dwukolorowe sznury ruszały, gdy zmieniało się pasmo ruchu – skrzyżowanie pustoszało na chwilę na tym kierunku. Widok był tak fascynujący, że w ciepły letni wieczór można tam było siedzieć godzinami.

Ostatni tydzień pobytu spędziliśmy w pobliżu Montrealu, zaproszeni przez młodszą gałąź rodziny Przyborskich – znajomych z Hamilton. Już spakowani, pojechaliśmy koleją do jakiejś małej miejscowości, skąd zostaliśmy zabrani do goszczącego nas domu. Od samego początku było to pasmo przyjęć, wizyt – byliśmy (nie ładnie to powiedzieć) w jakimś stopniu „eksponatami”.

Odbyliśmy także wycieczkę samochodową do Montrealu. Już z odległości kilku kilometrów widać olbrzymią zatokę, utworzoną ujściem rzeki Św. Wawrzyńca do Oceanu. Oglądając port i dwujęzyczne napisy (angielsko – francuskie) na szyldach sklepów wracaliśmy już, gdy Róża spostrzegła zakład fryzjerski po drodze. Rychło też odkryła, że właściciel nosi polskie nazwisko, więc postanowiła zajrzeć do zakładu dla poprawienia fryzury; ja zaś – paląc papierosa – rozglądałem się po okolicy. W pewnym momencie

właściciel wyszedł na zewnątrz, zaciekawiony przybyszami. Okazało się, że to mój student! Z sympatią wspominał okres studiów we Wrocławiu – nawet i to, że egzamin u mnie oblał w pierwszym terminie...

W tym rozgardiaszu przyjęć i drinków, przywitań i pożegnań znaleźliśmy się – nie wiedzieć kiedy – na lotnisku, z bagażem już nadanym: tylko wsiąść i odlecieć – co też się stało.

Warszawę rozpoznaliśmy od razu – nie tylko dzięki widokom z lotu ptaka, ale również przez brak papieru toaletowego w wydzielonych miejscach publicznych. Nic jednak nie mogło nam popsuć radości spotkania z naszymi synami, którzy oczekiwali nas samochodem w Hali Przyłotów. Mimo już jednej nieprzespanej nocy prowadzili samochód bez odpoczynku, w drugą noc: tym razem – już w komplecie – wracaliśmy do Domu.

11. Zakończenie

Latem 1999r. Róża zdecydowała się na operację oczu, zmierzającą do zmiany soczewek; widziała coraz gorzej wskutek pogłębiającego się ich zmętnienia. Ale przedtem trzeba było przejść szereg badań lekarskich, do których należało również prześwietlenie rtg klatki piersiowej. Powtórzenie potwierdziło, że na jednym płucu tworzy się narośl wielkości śliwki. Zamiast na operację oczu, skierowano ją na Oddział Onkologiczny w szpitalu przy ul. Grabiszyńskiej. Zaczęto całą serię badań, między innymi Róża dwukrotnie przeszła bronchoskopię. O ile mi wiadomo, w próbkach pobranych z obszaru płuc nie stwierdzono obecności ani prątków, ani komórek rakotwórczych. Diagnoza brzmiała: narośl, ale nie złośliwa. Zaproponowano Różę usunięcie zainfekowanego płata płucnego. Rozmawiałem z nią na ten temat; ze względu na niejednoznaczność diagnozy oboje byliśmy operacji przeciwni. I to był błąd. Gdyby w tym czasie Róża poddała się operacji – być może mogła by żyć jeszcze znacznie dłużej.

Róża została skierowana do specjalistycznej Kliniki Chorób Płucnych w Obornikach Śląskich. Wyniki przeprowadzonych tam badań również nie były jednoznaczne. Po powrocie do Szpitala przy ul. Grabi-

szyńskiej zdecydowano się na leczenie radiacyjne. Po serii naświetlań promieniowaniem gamma wykonano kontrolny zdjęcie rtg, które (podobno) wykazało defragmentację narośli – Róża wróciła do domu z przyływem nadziei.

Tymczasem moje własne serce odmówiło dalszej służby. Dzięki swym kontaktom Włodzio umieścił mnie na Oddziale Kardiochirurgii Wojskowej Akademii Medycznej. Po miesięcznej kuracji farmakologicznej puszczono mnie do domu na miesięczny „urlop” z zapowiedzią konieczności wymiany sfatygowanej zastawki. Jednak już w połowie tego urlopu zabrano mnie z powrotem do szpitala. Wykonane badania koronarograficzne wskazały dodatkowo konieczność wstawienia „by – passu”. Przetransportowano mnie półprzutomnego karetką Pogotowia do Katowic – pamiętam jedynie fragmenty tego przejazdu oraz oczekiwanie na wejście na oddział. Potrzebne operacje musiały odbyć się zapewne w krótkim terminie – pamiętam jeszcze, że wiozą mnie na łóżku w kierunku sali z dużym napisem „SALA OPERACYJNA” – jednak zanim dojechaliliśmy na miejsce, zapadłem w niebyt.

Z opowiadania mojego starszego syna, Krzysztofa, dowiedziałem się wiele dni później, że Żona bardzo niepokoiła się moim stanem i postanowiła zobaczyć się ze mną w Klinice, w Katowicach ufając że Jej odwiedziny, dotyk Jej ręki – spowodują przełom w chorobie. Mimo swojej własnej, ciężkiej choroby i uchodzących sił wybrała się razem z Krzysztofem Pigionem pociągami do Katowic. Tkwi we mnie świadomość, że ocknąłem się w pewnym momencie i zobaczyłem ich oboje blisko mnie i rękę Róży na twarzy. Uradowany, czyniłem wielkie wysiłki, żeby dać im znać jak bardzo się cieszę ich widokiem, ale na próżno – znów zapadałem w niebyt. Ale ten dotyk, zgodnie z nadziejami Róży, rzeczywiście stanowił przełom – to Ona przywołała mnie z powrotem do życia... Również z opowiadania wiem jeszcze, że w sumie leżałem nieprzytomny dwa tygodnie; moim krążeniem i oddychaniem dyrygowały skomplikowane maszyny.

Relacja o owych wydarzeniach z nami obojga brzmi, jak uproszczony raport lekarski. Nie zamierzam opisywać naszych wzajemnych uczuć i lęków o drugą osobę – nie potrafię wyrazić tego słowami. Pisanie nawet tej relacji zajęło mi sporo czasu i rozbudziło na nowo szereg bolesnych wspomnień.

W jakimkolwiek nie leżałem szpitalu – a pałętałem się między trzema klinikami – moi najbliżsi potrafili mnie odnaleźć, przywożąc z sobą

dobrze słowo, cierpliwość i niezliczone ilości przysmaków. Wielokrotnie byli Synowie moi Kochani: moja Droga i powoli odchodząca ode mnie Zona; były także Wandzia i Halinka (nasze kuzynki z Chrzanowa) i Gosia (moja Bratanica, mieszkająca w Krakowie). Te odwiedziny w szpitalu i dobre słowa trzymały mnie przy życiu, umożliwiły powrót od majaczeń i horroru do rzeczywistości – to im zawdzięczam przetrwanie.

Po moim powrocie do domu witaliśmy się co chwila, w ciągu kilku dni. Róża wyglądała dobrze, apetyt miała normalny. Jednak po pewnym czasie pojawiło się podwyższenie temperatury, apetyt osłabł i – jak sama Róża – wiały coraz silniej. Którejś nocy, próbując przejść do łazienki, przewróciła się i złamała nogę w stawie biodrowym. Mimo obaw przeszła pomyślnie operację wstawienia endo – protezy, ale od tego czasu już nie mogła chodzić. Było nad wyraz bolesne patrzeć, jak siły ją stopniowo opuszczają. Niezwykle dzielnie niosła swój krzyż, nie skarżąc się na nic – nawet na moje gotowanie obiadów. Zgasła 11 marca 2001 roku nie doczekawszy pięćdziesięciolecia naszego Małżeństwa, o czym tak bardzo marzyła.

Z perspektywy czasu widać, że z końcem roku 2000 nasze zegary biologiczne były na wyczerpaniu – oboje byliśmy śmiertelnie chorzy. O ile jednak w zakresie chorób serca diagnostyka i chirurgia poczyniły olbrzymi postęp, o tyle w leczeniu chorób płuc medycyna jest dalej niemal bezradna.

Życie miało swą wysoką cenę w tych czasach, kiedy Ona żyła i była przy mnie. Składało się na to nieskończenie wiele rzeczy, które nas łączyły. Z upodobaniem spoglądałem na Nią – cokolwiek robiła: gdy siedzieliśmy razem przy posiłku – niekiedy uroczystym, przy świecach; gdy wędrowaliśmy samochodem i pieszo po okolicach Wrocławia; kiedy przebierała się na wizytę. I później, u znajomych: mężczyźni siadali do bridża, a kobiety gawędziły w kółeczku. Patrzyłem wówczas w moje karty, ale wolałem słuchać, jak Róża zabiera głos: wszystko, co mówiła, wydawało mi się ciekawe i powiedziane z przekonaniem. Byłem z Niej dumny.

Wspierała mnie swą mądrością, odwagą – swoją miłością. Czuwała też nieustannie nad moim i dzieci wyglądem. Gdy poobiednią porą wybierałem się na Politechnikę – zawsze czułem Jej oko na sobie. Niekiedy też rozlegał się głos: „...ooo, ale buty – to by trzeba wyczyścić...” Temu, co się później działo, towarzyszyło częste psykanie

z mej strony, ale czyściłem... Czułem też Jej rękę na sobie, gdy poprawiała sweter lub kołnierz marynarki.

Odkąd zgasła – codziennie nachodzi mnie pytanie zapożyczone od prof. Janika: „co ja tu – właściwie – robię...?”

„O, Panie! Ty rzekłeś: „O cokolwiek prosić będziecie Ojca Mego Niebieskiego w Imię Moje – da wam. Przeto proszę Cię, Panie: dopomóż nam odnaleźć się w przyszłym życiu i obdarz nas wieczystą radością tego spotkania.” Amen.

Przypisy

1. Kwarglem nazywano krążek sera żółtego o ostrym smaku i ostrym zapachu. Często jedzono go do piwa. Kiedy ojciec przynosił taki przysmak do domu, Mama mawiała: „Ależ cuchnie!”, a ojciec: „Ale smak ma!”

2. Taki nocleg może nie być całkiem bezpieczny. Przed korcami (małe szczypawki, żyjące pod korą wyschniętych świerków) broniliśmy się, wkładając do uszu kłębki waty. Gospodarz jednak twierdził, że niekiedy przywozili węża razem z sianem; myśmy takich spotkań nie mieli...

3. „Zośką” był krążek z blachy ołowianej, wielkości dzisiejszej monety 2 zł, z małą dziurką w środku, przez którą przetykano pęczek odcinków włóczki o długości paru cm tak, by równo wystawał po obu stronach krążka. „Zośkę” umieszczano się na bucie i – bez przerwy podrzucając – skakało się w kierunku bramki. Upuszczoną Zośkę brał przeciwnik...

4. Skąd Niemcy mogli mieć szczegółowy układ zwrotnic i sygnalizacji kolejowej już w pierwszych miesiącach po zajęciu Krakowa?

5. W trakcie wypompowywania powietrza jego ciśnienie maleje tak znacznie, że nie można go odczytać bezpośrednio za pomocą barometru, podłączonego do układu próżniowego. Manometr McLeoda, dzięki swej przemysłnej konstrukcji, pozwala zamknąć za pomocą rtęci „próbkę próżni” w bańce o określonej objętości. Próbkę tę komprymuje się przez obrót manometru do położenia standardowego. W końcowej fazie sprężania próbka próżni wepchnięta zostaje do zamkniętej od góry szklanej kapilary, która jest właściwym elementem pomiarowym manometru: wysokość próbki, zajmującej objętość od zwierciadła rtęci do szczytu kapilary, jest miarą ciśnienia sprężonego gazu. Jeśli ciśnienie w układzie próżniowym było mniejsze od 10 – 6 tora, wysokość słupka powietrza staje się tak mała, że rtęć przykleja się do szczytu kapilary. Z pominięciem ciśnienia pary nasyconej rtęci (10 – 3 tora w temperaturze pokojowej) można wówczas powiedzieć, że ciśnienie powietrza w układzie jest mniejsze od 10 – 6 tora.

6. Wiadomo było, że blaszka z czystego glinu umieszczona jako anoda, w niektórych roztworach ulega pasywacji, tj. pokrywa się warstwą uwodnionego tlenku (i wodorotlenku) glinu (o złożonym składzie), który nie przewodzi prądu elektrycznego. Zależnie od parametrów pasywacji warstwa ta mogła być cieńsza lub grubsza, bardziej zwarta lub porowata. Takie warstwy miały dość szerokie zastosowania w przemyśle zarówno jako pokrycia antykorozyjne jak i zdobione lica skrzynek mieszczących aparaturę elektroniczną, bądź wreszcie jako idea konstrukcji kondensatora elektrolitycznego.

7. Używany w chemii eksykator jest cylindryczne naczynie, zamykane od góry przykrywą posiadającą na obwodzie płasko szlifowaną kryzę, dopasowaną do kołnierza naczynia; szczelność uzyskuje się za pomocą cienkiej warstwy smaru próżniowego. W dolnej części eksykatora umieszcza się środek suszący (odwodniony chlorek wapnia), wyżej – na odpowiednich półeczkach – substancje, które muszą być przechowywane w osuszanej atmosferze.

8. Istotą konstrukcji elektrometru są dwa ostrza metalowe, które można zbliżać do siebie lub oddalać za pomocą śrub mikrometrycznych. W płaszczyźnie ostrzy biegnie nić pomiarowa, która jest drucikiem platynowym o grubości rzędu kilku mikronów. Ostrza zasilane są z baterii napięciem, odpowiednio $+V$ i $-V$ (V jest rzędu 50 – 100 woltów). Górny zacisk nici, bardzo dobrze izolowanej od otoczenia korkiem z bursztynu, łączy się z badanym potencjałem; dolny jej koniec przyklejony jest do kabłączka wykonanego z włókna kwarcowego. Przesuwanie kabłączka w kierunku pionowym pozwala naprężać nić w kontrolowany sposób. Ruchy nici w polu elektrostatycznym obserwuje się za pomocą mikroskopu.

9. Gdybym dziś wiedział, czy żyją jeszcze dawni pracownicy Pracowni Szkieleń Laboratoryjnych, przekazałbym wyrazy mego najgłębszego podziwu dla ich niewiarogodnego wręcz kunsztu. Potrafili wykonać próżniowo szczelne przyspawanie bańki szklanej do korpusu płomieniem, którym operowali w odległości jednego centymetra od termostosu, bez śladu uszkodzenia cienkich drucików. To byli prawdziwi artyści! To oni wykonywali też bardzo złożone konstrukcje rtęciowych pomp dyfuzyjnych, które przez wiele lat służyły różnym Zakładom Politechniki.

10. Mniej więcej co pół roku rektor wsadzał wszystkich członków senatu do autokaru, i wywoził nas w miejsce dostatecznie dobrze izolowane od Wrocławia. W ten prosty sposób wszyscy dziekani i dyrektorzy instytutów byli zawsze na miejscu, co i nam samym też się przydawało.

11. Tyczyły one zjawiska egzoemisji, tj. emisji elektronów z zewnętrznej powierzchni różnych materiałów w temperaturze pokojowej; mierzono ją specjalnego typu licznikami otwartymi, konstruowanymi przez doktorantów. Do dziś nie odkryto, za jaką część wyników odpowiedzialna jest fizyka, a za jaką krasnoludki.

12. W Katedrze panował zwyczaj wzajemnej prezentacji doświadczeń, które się „udały”.

13. Takie mieszaniny oznaczało się symbolem $KCl.TlCl$; kropka oznaczała, że nie są to związki.

14. Cały kawałek materiału jest jednym kryształem. Oczywiście zdarza się również, że wlewek składa się z kilku stref monokrystalicznych, sklejonych ciasno razem, tj. jest polikryształem. Rodzaju krystaliczności nie można stwierdzić bez użycia specjalnych metod.

15. Kantal – specjalny stop oporowy – był importowany ze Szwecji.

16. Tygle z platyny robiła Państwowa Mennica w Warszawie.

17. Spolszczony termin angielski „Alkali – halides”. Halogenki alkaliczne to sole typu $AlkX$, przy czym kationem Alk może być jednowartościowy jon metalu, np. litu (Li), sodu (Na), potasu (K), rubidu (Rb), cezu (Cs), anionem X zaś jednowartościowy jon halogenu, np. fluoru (F), chloru (Cl), bromu (Br), jodu (I).

18. W doamencie każdy atom połączony jest z czterema najbliższymi sąsiadami.

19. Czasami wlewek, którego kształt budzi bardzo odległe skojarzenie z walcem, obracany wokół swej osi w strumieniu światła wykazuje w pewnym położeniu rodzaj „jedwabistego odbicia”. To zjawisko może wskazywać na płaszczyznę łupliwości.

20. $TlCl$ używany jest w postaci różnych past do trucia gryzoni; u człowieka powoduje (zapewne nie tylko) wypadanie włosów. Co gorsza, w zagadnieniach tu poruszanych szczególnie łatwo jest z nim się zetknąć ponieważ w temperaturach kilkuset stopni jest w jakimś stopniu lotny.

21. Odstęp między kationem i najbliższym mu anionem w sieci jonowej równy jest sumie promieni Van der Waalsa obu jonów w sieci.

22. Nazwa pochodzi z niemieckiego „Farbzentrum”. Słowo to wprowadziła grupa fizykochemików Uniwersytetu w Jenie.

23. Potas jest metalem nadzwyczaj aktywnym chemicznie i szybko reaguje z tlenem i parą wodną obecnymi w powietrzu – tymczasem z odciętym kawałeczkiem potasu trzeba wykonać szereg manipulacji, włącznie z przedestylowaniem go w próżni.

24. Przez jakiś czas Politechnika prowadziła tzw. „Studium Inżynierskie”, które trwało trzy lata i kończyło się dyplomem inżyniera. Kto chciał otrzymać dyplom „magisterski” musiał uczyć się na kursy specjalnie w tym celu prowadzone.

25. Tu muszę złożyć uroczyste oświadczenie, że nie jestem tzw. „marcowym docentem” – tak nazywano docentów mianowanych po Marcu 1968 za zasługi dla komitetów partyjnych.

26. Tę zwrotkę przypomniała mi Pani Irena Opolska, siostra Jadzi Ruziewiczowej.

27. Odpowiednik naszych Nauk Przyrodniczych (matematyka, fizyka, chemia).

28. Dla uniknięcia mogących powstać w ostatniej chwili kłopotów z przekroczeniem granicy przez Różę, wystąpiłem do ministra osobno o zgodę na ten wyjazd. Pismo zostało wysłane 5. II. 1982r. i miało treść następującą (mam jego kopię w dokumentach): „Obywatel Minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki Prof. dr hab. Benon Miśkiewicz Warszawa przez JM. Rektora Politechniki Wrocławskiej Prof. mgr Jerzego Schreodera w/m. Uprzejmie proszę Obywatela Ministra o wyrażenie zgody na wyjazd zagraniczny mej Żony, Rozalii ROHLEDER, jako osoby towarzyszącej mi w podróży służbowej do Kanady, Hamilton. Mój wyjazd, na który uzyskałem zgodę EAWR – 14721/Ww z dnia 21 stycznia 1982r., obejmuje wykłady i prowadzenie badań naukowych w Uniwersytecie McMaster w okresie 1 roku. Oboje z Żoną jesteśmy już nie młodzi (57 i 58 lat), w związku z czym stan naszego zdrowia ulega okresowym pogorszeniom. Żona pobiera od ośmiu lat rentę inwalidzką III grupy, przyznaną Jej po wypadku przy pracy. Zarówno obopólna troska o nasze zdrowie, tak fizyczne jak i psychiczne, oraz nierozdzielne więzi utrwalone wieloletnim pożyciem małżeńskim (28 lat) sprawiają, że obecność drugiej osoby przy tak długim okresie przebywania zagranicą jest wręcz nieodzowna. „Na list ten nigdy odpowiedzi nie otrzymałem. Natomiast Prezydent McMaster, zawiadomiony telegraficznie o naszym opóźnieniu, telegrafował: „we agree with your arrival in the second half of february best wishes dr alvin a lee president of macmaster university”.

29. Zapożyczone z „Gazety Wyborczej”.

30. Kanadyjski seler nie ma bulwy pod ziemią – cała „para” rośliny idzie w łodygi, które mają wygląd łudząco podobny do rabarbaru; podobnie też pozbawia się je skórki. Przygryzane są na surowo, z kwaśnym sosem (tatarski) do wędlin. Smak i zapach mają wyborny – o wiele łagodniejszy od bulwy.

31. Dolar kanadyjski równoważny był 3/4 US \$.

32. W Kanadzie istnieje zrzeczenie konsumentów (Consumers Distribution) rygorystyczne w egzekwowaniu praw klienta – sprzedawcy mocno się obawiali skarg na nich do tej instytucji.

33. To moja własna ocena.

34. J. W. Rohleder, *Fizyka chemiczna kryształów Molekularnych*, PWN Warszawa 1989 (386 s.); J. W. Rohleder, R. W. Munn, *Magnetism and Optics of Molecular Crystals*, J. Wiley, England 1992 (140 s.).

35. Penetrując sklepy rzeczy używanych w poszukiwaniu mebli, odwiedziliśmy także składnice Salvation Army. Ponieważ lubię oglądać półki z książkami, stanąłem przy jednej z nich i znalazłem „The Winston Canadian Dictionary for Schools”.

36. Mój przyjaciel w Rennes (Francja), chcąc mnie pewnego dnia uraczyć, zamówił w restauracji ostrygi, które – jak wiadomo – trzeba połykać żywe, z przyprawami. Na pytanie, jak mi smakuje – powiedziałem: „Bardzo dobre – nie wiem tylko, w którą stronę one się wybierają po przełknięciu – na dół, czy do góry”.

37. Przystanęli w Falmouth, ponieważ tu wysiadał Włodek. Miał do odbycia cztero – miesięczną praktykę w ramach studiów w Politechnice Wrocławskiej, uzgodnioną z Rutherford – Appleton Lab. (Dittcot – Oxford).

38. Ta sprawa tylko z pozoru wygląda tak prosto. Komputer nie tylko musiał „znać” rozmiar całej pamięci, ale musiał też „wiedzieć”, jak do niej trafić. Wiąże się to z tym faktem, że każda komórka pamięci musi mieć indywidualny „adres”; i tę sprawę udało się Włódkowi pomyślnie rozwiązać.